

ROZDZIAŁ

DRUGI

Walka

– Przejdźmy teraz do ścisłej konspiracji wojskowej. Kiedy pan wszedł w skład kompanii K-4 pułku „Baszta”?

– W 1943 roku zostałem żołnierzem tego batalionu i kompanii w plutonie „Radio”. Dowódcą plutonu był podporucznik „Selim” (Jerzy Krzysztofowicz). Byłem w jednej drużynie z Jerzym Niezgodą i Tadeuszem Wróblem. Dowódcą drużyny był kapral podchorąży „Śláz” Jan Podkański. Przechodziliśmy intensywne szkolenie w obsłudze tzw. ukaefek – ultrakrótkofalowych aparatów radiowych posługujących się alfabetem Morse’a. Dobra znajomość tego alfabetu wymagała intensywnych ćwiczeń w nadawaniu i odbieraniu komunikatów. Te ćwiczenia były niebezpieczne, bo Niemcy krążyli po Warszawie samochodami z urządzeniami nasłuchu połączeń krótkofalowych i bardzo szybko umiejscawiali nadawanie komunikatów. Dowódcą kompanii był podporucznik „Lucjan” Jerzy Biegeleisen, nasz starszy kolega z Liceum Poniatowskiego, który zmienił nazwisko z niemieckiego brzmienia na Stawiński, a po wojnie stał się wybitnym autorem scenariuszy filmowych, współpracował m.in. z Andrzejem Wajdą.

W kwietniu 1944 roku kompania K-4 została zdekonspirowana. Nie wiadomo do dziś w jaki sposób. Aresztowano między innymi Krzysztofa Dunin-Wąsowicza i Stefana Przyweckiego. Zesłani do obozu w Stutthofie szczęśliwie przeżyli wojnę. W ręce gestapo wpadło wtedy archiwum z danymi osobowymi: pseudonimami, datami urodzenia oraz pierwszymi literami na-

zwisk i imion – materiał wystarczający do identyfikacji z dokumentami ewidencji ludności. Wszyscy młodzi akowcy otrzymali wówczas rozkaz ucieczki ze swych mieszkań. Na krótko przed godziną policyjną przyszedł do mnie strzelec „Mucha” z poleceniem błyskawicznej ewakuacji.

Początkowo zamieszkałem u kuzyna Jerzego Łosowskiego na Pradze. Później zająłem mieszkanie mego stryja Jana Kieżuna przy ulicy Mickiewicza, w domu „Pod Matką Boską”. Stryj już dawno wyprowadził się do Anina i mieszkanie było puste. „Lucjanowi” też udało się gdzieś ukryć. „Śláz”, jak się już po wojnie okazało, zamieszkał na Gocławku. Moja matka przeprowadziła się do swojej siostry na ulicę Słowackiego. Mieszkanie przy Krasieńskiego 6 przez dwa miesiące stało puste. Pod koniec czerwca 1944 roku mama zdecydowała się jednak do niego wrócić. Na wszelki wypadek zaopatrzyła się w list ode mnie z adresem ze wsi Maleszowa pod Kielcami, gdzie jej brat Jan Bokun prowadził roboty melioracyjne. Naturalnie ten list był pomysłany jako alibi w razie poszukiwań przez gestapo. Faktycznie przemieszkowałem w różnych mieszkaniach warszawskich. Mój rzekomy list do matki wysłał ze stemplem pocztowym z Maleszowej wuj Jan Bokun.

Na jakiś czas przed Powstaniem zdałem egzamin eksternistyczny z programu szkoły podchorążych, czyli kandydatów na oficerów czasu wojny, i zostałem włączony do oddziału specjalnego batalionu „Gustaw-Harnaś”. A było to tak. Pozbawieni kontaktów z dowództwem „Baszty”, przez kolegów z Liceum Poniatowskiego nawiązaliśmy z Jerzym Niezgodą kontakt z batalionem „Gustaw”. Okazało się, że tworzy się tam dywersyjny oddział specjalny, w którym znalazł się również Mieczysław Skrobik, pseudonim „Zawada”, kolega z Poniatowskiego, a młodszy brat Kazimierza „Konia”. Należeli oni do słynnego akowskiego oddziału dywersji „Osa-Kosa”, który podjął akcję „Góral”; polegała ona na zdobyciu stu milionów złotych z transportu Banku Emisyjnego. Tak więc znalazłem się w wyborowej grupie akowskiej. Wszedłem do niej po egzaminie z podchorążówki z nominacją na kaprała podchorążego. Zostałem magazynierem broni tego oddziału specjalnego, a przechowywałem ją w zajmowanym przeze mnie mieszkaniu stryja. Dosta-

łem numer 2786, bo batalion AK „Gustaw” zachował swoją tradycję pseudonimów cyfrowych. Z chwilą wybuchu Powstania system tajnego nazewnictwa ujednolicono i wówczas dostałem pseudonim „Wypad”, w pewnym sensie honorowy. Było to na pamiątkę udanego wypadu oddziału specjalnego na Poczta Główną 2 sierpnia 1944 roku. Pseudonim ten zasugerował dowódca zgrupowania „Harnaś”.

Oddział Specjalny „Gustaw” (później „Harnaś”) został powołany w maju 1944 roku. Chodziło o przeprowadzanie najtrudniejszych akcji zbrojnych na tym etapie okupacji niemieckiej. W wielkim uproszczeniu był to pierwotny wzór dzisiejszej elitarnej jednostki „Grom”. Najpierw liczył 17 osób. Dowódcą został porucznik „Janusz” (Janusz Zapolski). Jak na ówczesne warunki był dobrze uzbrojony: dwa ręczne karabiny maszynowe – pepesza i schmeisser, osobista broń krótka, granaty zaczepne, obronne i dymne niemieckie i polskie, a także produkowane w podziemiu „filipinki”. Przed Powstaniem doszły jeszcze dodatkowo trzy ręczne karabiny maszynowe „Błyskawica” podziemnej produkcji.

Nieudana akcja zdobycia broni

– *Skąd się wzięła u pana jeszcze przed Powstaniem rana dłoni?*

– Po 24 lipca 1944 roku, gdy rozbite oddziały niemieckie przechodziły przez Warszawę, budząc naszą radość i chęć natychmiastowej walki, rozpoczęła się akcja kupowania broni od Niemców. Pojedynczy maruderzy, brudni, głodni i obdarci, byli skłonni sprzedać broń, żeby kupić sobie żywność lub coś cennego. Pamiętam, że 23 czy 24 lipca na zbiórce w lokalu przy Chmielnej 28, u braci Skrobików („Koń” i „Zawada”), na podłodze leżały banknoty pięćsetzłotowe przygotowane do kupna broni. Dostaliśmy pieniądze z poleceniem szukania okazji (np. Andrzej Ligęza „Cowboy” kupił broń na Żoliborzu). Ja natomiast dostałem rozkaz realizacji przygotowanej transakcji kupna ręcz-

nego pistoletu maszynowego od pewnego żandarma. Pistolet miał być odebrany na klatce schodowej domu przy ulicy Freta.

Było nas dwóch; drugi kolega był mi wcześniej nieznanym, o pseudonimach „Mucha” i „Janek”. Zabezpieczenie osobiste – ręczne pistolety; po przeciwległej stronie, w domu, gdzie obecnie mieści się Muzeum Marii Curie-Skłodowskiej, było dwóch kolegów z naszego oddziału z granatami dymnymi i pistoletami (jeden to „Andy”, drugiego nie pamiętam). O godzinie 14.00 miał przyjść Niemiec po pieniądze (nie pamiętam dokładnie, chyba około dwudziestu tysięcy złotych – była to niska cena) i dać bergmana. „Janek” go znał, podobno był to mówiący po polsku Ślązak. Rano zbadaliśmy teren: od drzwi wejściowych był korytarz, schody z boku po paru metrach od wejścia.

Byliśmy przed 14.00, początkowo przechadzaliśmy się, a później weszliśmy na korytarza wejściowy. Osłona *vis-à-vis* już była przy otwartym oknie na pierwszym piętrze. Parę minut po 14.00 od strony Nowego Miasta wszedł oddział kilkunastu żandarmów, stanęli po drugiej stronie ulicy. Zorientowaliśmy się, że jest to obława na nas. Szybka decyzja: uciekamy pod osłoną granatów dymnych. „Andy”, który był dowódcą osłony z drugiej strony ulicy, wiedział, że na pierwszy strzał z naszej strony rzuca dwa granaty dymne. Moneta wylosowaliśmy, kto wybiega w prawo, a kto na lewo, natychmiast po naszym strzale i mgłę z granatów.

Na sygnał strzeliłem z ujęcia korytarza w górę. Natychmiast padły dwa granaty dymne. Już w rozwijającej się mgłę wybiegłem na lewo, „Janek” na prawo. Tuż obok był okrągły postument do reklam (były takie w Warszawie, oblepione reklamami i informacjami); zdaje się, że stoi do tej chwili. Gdy przebiegałem, już strzelając, za tym postumentem stał chyba dowódca oddziału niemieckiego. Strzelił do mnie. Gdy podnosił pistolet, machinalnie zasłoniłem się lewą ręką i dostałem w dłoń. Wbiegłem natychmiast w ulicę Świętojerską i ukryłem się za rogiem. Po drugiej stronie był mały bazar, stali przekupnie. Przebiegłem i przeskoczyłem płot do korytarza między domami z wyjściem na rynek Nowego Miasta przez ulicę Freta. Chustką tamując krew, przebiegłem przez plac nad Wisłą. Potem urwałem

rękaw koszuli w celu zatamowania krwi i Wisłostradą dobiegłem do Żoliborza, idąc później szybkim krokiem. Przy ulicy Fortecznej mieszkał nasz lekarz batalionowy. Opatrzył mi rękę, założył temblak. I tak na pierwszą mobilizację 28 lipca byłem z ręką na temblaku, tak też rozpocząłem Powstanie. „Janek” nie dobiegł do Długiej, zastrzelono go na Freta. Niemcy postawili nad jego ciałem granatowego policjanta. Leżał tak przez parę dni, dla postrachu.

Później dowiedziałem się, że tę transakcję „nadała” jakaś kobieta – krewna czy kochanka żandarma. Mieszkała gdzieś na Freta i stąd adres transakcji. Znał ją „Janek”. Okazja była znakomita, bergman to wysokiej klasy pistolet maszynowy, wyższej niż mój schmeisser. Też i cała skomplikowana operacja z niepewnym sprzedawcą. Ja byłem tylko wykonawcą, cała akcja była zorganizowana poza mną.

– Czy były jakieś inne akcje przed Powstaniem, w których pan brał udział?

– Z paru zaplanowanych akcji ważne było pozyskanie pierwszych transportów penicyliny z niemieckiej apteki Wendego, potem rozbrojenie posterunku żandarmerii w okolicy Jaktorowa (chodziło o przejście tamtejszej zbrojowni), zdobycie większej liczby niemieckich samochodów. Z tych zadań udały się tylko dwa. Przejście niemieckiej fabryki mundurowej znajdującej się na piętrze gmachu ograniczonego ulicami Marszałkowską, Moniuszki i Sienkiewicza. Znajdował się tam spory zapas bielizny i mundurów. Przydał się wkrótce, gdy zaczęło się Powstanie. Zdobyto również jeden samochód wojskowy na ulicy Daniłowiczowskiej.

Brałem udział w tych akcjach. Byłem wówczas usposobiony optymistycznie co do zdolności bojowych oddziału i w ogóle Armii Krajowej w Warszawie. Ten nastrój wzmocnił się jeszcze, gdy w trzeciej dekadzie miesiąca – w dniach 22–29 lipca 1944 roku – w kompletnym bezładzie sunęły przez stolicę ciężarówka, wozy konne i wymęczone piesze kolumny żołnierzy dalekich od zwyczajowej dyscypliny. Cieszący wszystkich widok pobitych hitlerowców ze zgaszonym spojrzeniem i przeważnie zabandażowanymi głowami

czy rękami. W panice, niemal w chaosie, ewakuowali się z Warszawy Niemiec-
cy urzędnicy z rodzinami.

Wspominam te dni ze szczególnym sentymentem. Wśród cywilnych
mieszkańców Warszawy, nie mówiąc już o nas, młodzieży akowskiej przygo-
towującej się do walki z Niemcami, zapanował nastrój euforii. Buta niemiec-
ka złamana, zbliża się dzień zapłaty za pięcioletnią okupację i morderczy
terror. Przekonanie, że Niemcy uciekają z Warszawy, oładnęło nie tylko na-
szymi umysłami, udzieliło się również ogłowi mieszkańców. Oczywiście
o tym, że już 30–31 lipca władze hitlerowskie opanowały sytuację i przewi-
dując polską akcję zbrojną w Warszawie, zaczęły gromadzić znaczne siły
uderzeniowe – nie mieliśmy pojęcia.

Trefny towar jedzie dorożką

*– Muszę pana teraz zapytać o zamieszanie wokół mobilizacji. Znam
te sprawy z relacji Piotra Stonimskiego, ale każdy żołnierz AK miał
własne przygody.*

– W piątek 28 lipca 1944 zarządzono mobilizację oddziałów AK w punktach
zbiorczych. Punktem zbiorczym dla Oddziału Specjalnego „Gustaw” i kom-
panii „Grażyna” był lokal niemieckiej fabryki (niemieckie kierownictwo zo-
stało już ewakuowane) we wspomnianym już wcześniej gmachu okolonym
ulicami Marszałkowską, Sienkiewicza, Moniuszki i tyłem budynku Filharmo-
nii Warszawskiej. Rozkaz mobilizacji zarządzanej na godzinę 20.00 dotarł
dość późno. Broń Oddziału Specjalnego należało przewieźć z mojego miesz-
kania na miejsce zbiórki. Zadanie to powierzono mnie oraz „Jerzemu” (Je-
rzy Niezgoda) i „Andy’emu” (Andrzej Ziółkowski). Tę eskapadę później bar-
wnie opisał „Jerzy”. Myślę, że warto ją zacytować.

„Dzień był ciepły, więc o przewiezieniu pistoletów maszynowych pod
płaszczami nie było mowy – młody człowiek w taki letni dzień, wystrojony